

Późnym, jesiennym wieczorem w Filadelfii, w spelunie o niezbyt dobrej sławie, którą wszyscy nazywali po prostu „knajpą”, choć tak naprawdę nosiła szlachetną nazwę „Pod starym niedźwiedziem”, często przesiadywał pewien człowiek. Jednak określenie „człowiek” to lekka przesada w jego przypadku. John Morgan, bo tak się właśnie przedstawiał, był zwykłym lumpem. Większość swojego życia spędzał na upijaniu się, zresztą właśnie to było jedynym regularnym zajęciem, jakim się parał. Niestety alkohol oraz inne używki, od których również nie stronił, kosztują. W kalendarzu Morgana nie było miejsca na pracę, ale doskonale radził sobie ze zdobyciem pieniędzy. Był bardzo wysokim i dobrze zbudowanym mężczyzną. Ogromne mięśnie robiły wrażenie na wszystkich, którzy znaleźli się w jego towarzystwie. Jego dosyć ciemna karnacja skóry i kruczoczarne włosy podkreślały jego wzbudzający strach wygląd. Głównym źródłem jego zarobków były zakłady. Nie stronił również od bójek i kradzieży. W knajpach, gdy jeszcze trzymał się na nogach, chętnie przyjmował wyzwania od innych pijaków. Stawiali oni niekiedy swoje ostatnie pieniądze, żeby móc siłować się na rękę z Johnem Morganem. Czasami trafiała mu się poważniejsza robota, oczywiście za lepsze pieniądze. Na zlecenie spuszczał komuś zwyczajnie wpierdol, zdobywał części do samochodów czy zastraszał starych sklepikarzy. Niekiedy nawet właściciele spelun, w których spędzał wieczory i noce, pozwalali mu pić za darmo. Mieli wówczas tylko jeden warunek: musiał zachowywać się spokojnie i nic nie zniszczyć. Przychodziło mu to z wielkim trudem, ale zazwyczaj dawał radę.

John nie miał żadnej rodziny. Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Policja ustaliła, że ktoś przeciął hamulce. Morgan był jednym z podejrzanych, ale nic mu nie udowodniono. Podobno kiedyś chwalił się, że nic mu nie sprawiło takiej przyjemności, jak widok zwłok jego rodziców wyciąganych przez strażaków ze zniszczonego samochodu. Ale oczywiście to tylko plotki rozsiewane przez pijaków i tanie dziwki, w których kręgu miał w zwyczaju się obracać najczęściej. Jednak ludzie mówią, że w każdej plotce tkwi ziarenko prawdy. Może i tym razem było podobnie? Nie wiadomo, ale historia dzieciństwa Johna Morgana nie była różowa.

Jego ojciec, jak można się domyśleć, był alkoholikiem. Jest kilka typów ludzi chorych na alkoholizm. Ojciec Morgana był wzorcowym przykładem najgorszego z nich. Był zwykłym ścierwem. Nieraz bił małego Johna, kiedy tylko coś w domu nie było po jego myśli. Matka nie była lepsza. Puszczala się na prawo i lewo wcale nie dlatego, że brakowało im pieniędzy. Ojciec — mimo pijaństwa — zarabiał dosyć

dobrze. Pracował w fabryce w centrum miasta. Matka po prostu lubiła seks. Często wracała do domu z włosami poklejonymi sperma oraz z posiniaczoną twarzą, czyli pamiątką po bardziej wylewnych kochankach. Ojcu to nie przeszkadzało. Całe dnie albo siedział w robocie, albo pił. Nie zwracał uwagi na to, co robiła jego żona. John, widząc to, z dnia na dzień coraz bardziej nienawidził swojej rodziny. Uciekał z domu prawie codziennie. Chował się na złomowisku nieopodal. W zamian za nocleg i jedzenie pomagał staremu kierownikowi Peterowi. Miał do niego większy szacunek niż do całej swojej rodziny. Po każdym kilogramie przerzuconego złomu stawał się silniejszy, a z każdym dniem oglądania patologii w swojej rodzinie twardniało mu serce. W tym czasie poprzysiągł sobie, że nigdy nie założy rodziny. Po śmierci rodziców musiał trafić do domu dziecka. Już wtedy, jako nastolatek, wzbudzał grozę wśród swoich rówieśników i opiekunów w placówce. Już wtedy był dużo wyższy i lepiej zbudowany od reszty dzieciaków. Pozostałe sieroty bały się go i John łatwo je sobie podporządkował, podobnie jak pracowników ośrodka. Kilkoro dzieci zaginęło w niewyjaśnionych okolicznościach w czasie, gdy Morgan rządził w domu dziecka. Kiedy jakiś podopieczny ośrodka sprzeciwił się Johnowi, w jego aktach pojawiała się adnotacja „Ucieczka” zaraz po tym jak zniknął z placówki w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach. Po osiągnięciu pełnoletniości, jak każda sierota musiał rozpocząć życie na własną rękę. Ze swoim zatwardziałym charakterem doskonale radził sobie na ulicach Filadelfii. Sypiał w melinach, znał wszystkich dilerów i wszystkich alfonsów. Wiedział z kim można się zadawać, a z kim nie. John nie bał się miejscowych przestępców, on sam wzbudzał ich strach. Miał nawet powiedzonko, które parafrazowało biblijny cytat: „Idąc ciemną doliną, zła się nie ulękne, bo zło jest we mnie”. Wraz z wiekiem zyskiwał szacunek. Zwykli ludzie nie chcieli spotkać go na swojej drodze, a całe plugawe ścierwo Filadelfii chciało mieć w nim przyjaciela. Miejskowa policja również nie wtrącała się w jego drobne przestępstwa. Zwykli funkcjonariusze nie chcieli zadzierać z człowiekiem, który brutalnie zabił rodziców jako dziecko, a przestępstwa — jakie popełniał — nie były na tyle poważne, żeby zainteresowały się nim poważniejsze wydziały organów ścigania.

Tak wymuszając haracze, okradając i objając ludzi, pijąc i ćpając, John spędzał swoje życie. I takiego właśnie, pijanego, spotykamy „Pod starym niedźwiedziem”.

Knajpa nie była przytulna. Schodzili się tam dilerzy, złodzieje i inni drobni przestępcy. Był to niewielki lokal. Bar, kilka stolików i stara szafa grająca stojąca pod jedną z odrapanych, czerwonych ścian. John siedział w rogu przy butelce

najtańszej wódki. Obok niego siedziały dwie kobiety. Można się założyć, że były to jakieś tanie dziwki. Ich wygląd dobitnie na to wskazywał. Pierwsza, siedząca po prawej stronie Morgana, była starsza. Na jej głowie znajdował się gąszcz rudych włosów, które wyglądały jak kask. Nie była ładna. Miała kilka wyrw w uzębieniu spowodowanych zapewne przez jakiegoś klienta, który nie miał co zrobić z rękami w trakcie „zabawy”. Jej piersi były spore i kształtne, ale fałdy tłuszczu przebijające przez panterkową bluzkę psuły efekt. Druga z towarzyszek — siedząca po lewej stronie — była młodsza. Co bardziej dociekliwi mogliby poprosić ją o okazanie dowodu osobistego przed zakupem alkoholu. Była szczupłą i niewysoką brunetką o ciemnej karnacji. Krótkie, czarne włosy pasowały do jej drobnej twarzy. Przez czarne, lateksowe spodnie wystawały szpiczaste kolana. Materiał w tym miejscu był niemal przetarty. Morgan domyślał się, że nie raz już klęczała, „ciągnąc druta”, ale w ogóle mu to nie przeszkadzało. Choć sam nie pracował, uważał, że żadna praca nie hańbi. Johnowi bardziej podobała się młodsza towarzyszka. Nalewając sobie kolejną szklankę wódki, dał sygnał rudej, by weszła pod stół. Podczas gdy Sara — bo tak miała na imię — „robiła mu loda”, John zaczął rozmowę z drugą koleżanką — Jessicą. Chciał dowiedzieć się, co skłoniło ją do takiego życia. Dziewczyna z początku wzdrygała się od głębszych zwierzeń, ale Morgan umiał przekonywać, nawet słownie. W końcu otworzyła się i opowiedziała mu o tym, w jaki sposób znalazła się w obecnym położeniu. Wyznała, że jej ojciec jest prezesem dużej firmy farmaceutycznej, a matka znaną dziennikarką. Rodzice nigdy nie mieli dla niej czasu. Ojciec całe dni spędzał w firmie. Nawet jeśli zjawiał się w domu, siedział z telefonem w ręku albo przeprowadzał jakieś transakcje w sieci. Matka ciągle podróżowała w poszukiwaniu dziennikarskich sensacji. Jessica powiedziała, że trafiła na ulicę z własnej woli. W domu czuła się samotna, a na ulicy zawsze coś się dzieje, zawsze miała jakieś towarzystwo. Morgan przerwał jej wypowiedź i strzelił nasieniem w usta Sary. Zaraz po tym wstał, przewracając stolik. Odepchnął rudą prostytutkę i zapiął rozporek. Chwycił za rękę Jessicę i ruszył w stronę wyjścia. Drogę zastawił im niewysoki, łysy barman, miał pretensję o przewrócony stół. John strzelił go dwoma szybkimi sierpowymi i opuścił spelunę.

Po drodze do mieszkania — a raczej meliny — Johna, Jessica mówiła dalej o swoim życiu. Morgan nie słuchał już jednak zbyt uważnie. Doskonale wiedział, jak poderwać dziewczynę na jedną noc. Udawał, że jest zainteresowany jej historią tylko po to, żeby ją przelecieć za darmo. Podczas gdy ona coraz bardziej otwierała się

i opowiadała o osobistych szczegółach swojego życia, Morgan wyobrażał sobie, co z nią zrobi, gdy dotrą na miejsce. Przechodząc obok sklepu nocnego przypomniało mu się, że miał sobie kupić butelkę wódki na rano. Taka tradycja zaczerpnięta od polskich znajomych. Dowiedział się od nich, że kaca trzeba leczyć tak zwanym klinem, czyli kolejną porcją alkoholu. Grzecznie przeprosił swoją koleżankę słowami:

— Poczekaj tu!

Wszedł do sklepu. Było to duże pomieszczenie wypełnione półkami ze wszystkim, czego dusza zapagnie. Za ladą stał człowiek arabskiego pochodzenia w białym turbanie. John Arabów nigdy nie lubił. Nie miał specjalnego powodu. Po prostu irytowało go to, że w jego kraju w sklepach trzeba słuchać ich głupawego akcentu i kaleczzonego angielskiego. Wziął z jednego z regałów to, po co przyszedł, a kiedy już miał wychodzić, sprzedawca odezwał się:

— A zapłacić?

Morgan odwrócił się i zobaczył obraz, z którego śmiał się przez resztę wieczoru. Za sklepową ladą stał trzęsący się starszy Arab w turbanie osuniętym na oczy, celujący do niego z Colta. John z uśmiechem na ustach rzucił w niego butelką wódki, którą miał w ręku. Trafił prosto w głowę, zanim sprzedawca zdołał nacisnąć spust. Arab padł na podłogę wyłożoną ceramicznymi płytkami. Morgan wziął sobie z półki dwie butelki. Jedną jako rekompensatę za stłuczenie poprzedniej oraz paczkę chipsów dla koleżanki — sam tego gówna nie jadał od dawna. Nie odżywiał się zdrowo, ale od chipsów trzymał się z daleka. Przed wyjściem ze sklepu rzucił jeszcze okiem na arabskiego sprzedawcę, który leżał na podłodze. Jego turban zdążył już nasiąknąć krwią i zmienić kolor na różowawy. John jeszcze raz uśmiechnął się i wyszedł ze sklepu. Po kolejnych kilkunastu minutach dotarli na miejsce. Po drodze zdążyli już wypić jedną flaszkę, a Jessica pochłonęła chipsy, jednak nadal była głodna. Morgan spokojnym tonem powiedział:

— Nie pękaj. Zaraz cię nakarmię.

Dziewczyna doskonale wiedziała, że nie ma na myśli miski ciepłej zupy, ale mimo to czuła do niego jakąś sympatię. Był jedynym mężczyzną, który zainteresował się jej życiem. Nie spodziewała się jednak, że to tylko podstęp.

Stanęli przed starą kamienicą zbudowaną z czerwonej cegły, wystającej spod kiedyś białego tynku, którego wielkie płyty zdążyły już odpaść. Okna albo ociekały brudem, albo nie było ich w ogóle. Dziury po szybach zabite były deskami lub czymś co je przypominało. Wokół budynku wałało się pełno śmieci. Doszli do schodów, na

których leżał jeden z sąsiadów. Nie dał rady dotrzeć do domu i musiał wstrzyknąć sobie coś już przed blokiem. Same schody prezentowały się podobnie, jak reszta budynku. Poręcze sypały się, jak piasek z dziurawego worka, stopnie były popękane i brudne. Nie ma się jednak co dziwić, skoro nie raz na tych schodach nocowali narkomani. Wielkie drzwi wejściowe utrzymane były w takim samym klimacie. Było w nich kilka dziur po kulach, a okna wokół zastąpione zostały płytą paździerzową. Zwykła, milusia speluna.

John Morgan wszedł do budynku pierwszy, ale nie dlatego — a przynajmniej nie tylko dlatego — że nie był gentelmanem. Chciał sprawdzić, czy na klatce schodowej jest bezpiecznie, czy nie kręcą się tam jacyś degeneraci z nożami, butelkami czy strzykawkami. Okazało się, że można wejść bez problemów. Kopnął tylko jednego lumpa, który chciał wyjść z budynku. Ten spadł po schodach do piwnicy. Na górę wchodzili powoli, starając się nie dotykać ani brudnej poręczy, ani odrapanej ściany. Kolejne piętra wyglądały niemal identycznie. Na każdym znajdowały się połamane drzwi lub były zaklejone policyjną taśmą. Trzecie piętro jednak, a szczególnie jedno z drzwi znajdujących się tam przykuły uwagę Jessiki. Zobaczyła tam najładniejsze drzwi w całej kamienicy. Były dębowe, a przed nimi leżała wycieraczka z brązowej trzciny. Niestety, piękny, jak na warunki tej kamienicy, widok zmaćcił człowiek leżący pod oknem na końcu korytarza. Brodaty menel w brudnych łachmanach precedzał sobie denaturat przez czerstwą bułkę. Jessica czuła do niego wstręt i odrazę, ale z drugiej strony było jej żal tego mężczyzny. W jej młodym umyśle znajdowało się jeszcze miejsce na współczucie nawet dla takich ludzi. Kiedy Morgan zobaczył wzrok swojej znajomej wbity w tego menela, rzucił szybko:

— Już jesteśmy! — I pociągnął ją za sobą.

Drzwi do jego mieszkania były zawsze otwarte. Przez pozycję, jaką wyrobił sobie wśród ludzi jego pokroju, nie bał się, że ktoś wejdzie do jego meliny. W nos Jessiki od razu rzucił się silny zapach alkoholu. Skrzywiła się, na co Morgan odparł:

— Nie przejmuj się, zapomniałem posprzątać.

Oczywiście było to kolejne kłamstewko. Nie miał zamiaru sprzątać. Zresztą puste mieszkanie nie wyglądało na bardzo zaniedbane, ale raczej na takie, jakby dopiero czekało aż ktoś w nim zamieszka. Ściany nie były zniszczone jakoś szczególnie, podobnie podłogi. Brakowało jedynie wyposażenia. W pomieszczeniu przygotowanym do pełnienia roli kuchni stały na podłodze cztery skrzynki wypełnione

pustymi butelkami po wódce, stara kuchnia gazowa i taboret. Ze ścian wystawały kable. John zdążył się już pozbyć nie tylko sprzętów takich, jak zlew czy lodówka, ale nawet sprzedał gniazdka i kontakty. I tak w całej kamienicy nie było prądu, więc nie były potrzebne. Na środku drugiego z pomieszczeń stało łóżko. Morgan tak nazywał dwa materace położone jeden na drugim.

— Rozgość się... — rzucił krótko, wprowadzając ją do tego pomieszczenia.

Jessica była nieco zdziwiona przemianą Morgana po przekroczeniu progu kamienicy. Po drodze wydawał się dobrym człowiekiem, któremu zwyczajnie życie się nie ułożyło. Teraz zachowywał się, jak zwykły klient. Stał się zimny i oschły. Całe budzące się w niej uczucie zaczęło powoli upadać. Wiedziała, że i tak już nic tej nocy nie zarobi. Usiadła na materacach i odłożyła swoją małą, różową torebkę na deskę stojącą na dwóch pustakach, która miała odgrywać rolę półki. John po chwili wszedł do pokoju i usiadł obok niej. Po zachowaniu dziewczyna wiedziała już, że to co robił wcześniej, to był tylko zwykły bajer.

Morgan kazał jej rozebrać się.